Wydawnictwa rok VI
Dnia 27 maja 1928 r.

Nr. 247

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głosu Prawdy„

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Upiory dnia wczorajszego i znaki zapytania dzisiejszego — w Niemczech

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Admisintracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

„CENTROLEW" W NIEMCZECH JEST CORAZ BLIŻSZY URZECZYWISTNIENIA po ostatnich wyborach. Rząd wielkiej koalicji od ludowców z pod znaku Stresemanna do socjalistów, w którym socjaliści będą elementem dominującym, jest bliski utworzenia się, według ostatnich relacyj. Jeżeli nagół wynik wyborów powitany został życzliwie przez całą niemal demokratyczną opinję Europy, jako koniec legendy Hohenzollernów i ugruntowanie republiki w Niemczech, to w stosunku do bezpośrednich rezultatów tego zwrotu „w lewo" przeważa stanowisko krytyczne, szczególnie gdy chodzi o sprawy polityki zagranicznej. Powszechnie panuje przekonanie, że u steru jej pozostanie min. Stresemann, który na zasadzie osiągniętych przez ideę pokojową „sukcesów" w polityce wewnętrznej, na zasadzie „Umstimmung" społeczeństwa niemieckiego — czego dowody złożyły jakoby wybory, — domagać się będzie z większą jeszcze stanowczością zniesienia sankcji bezpieczeństwa, likwidacji planu Dawesa i rewizji granic, oczywiście, w pierwszym rzędze wschodnich. Z tego punktu widzenia wybory niemieckie, mimo swego doniosłego wpływu na demokratyzację wewnętrzną i republikanizację Niemiec mogą w najbliższym swoim wyniku zapoczątkować serję nowych naprężeń na terenie międzynarodowym.

* *
*

NIEWIDZIALNA, ZABÓJCZA BROŃ GAZOWA okropnością swoją prześcignie w przyszłej wojnie wszystkie dotychczasowe narzędzia mordu masowego. Obłok śmierci w Hamburgu, który z zakładów firmy Stoltzenberg wydobył się niepostrzeżenie, niszcząc wszystko dookoła, daje jej apokaliptyczny przedsmak. Należy zaznaczyć, że phosgen nie jest najstraszniejszym z gazów. Są inne, o działaniu jeszcze bardziej piorunującem. Zaalarmowani katastrofą hamburską, uczeni pracują teraz nad środkami ochronnemi przeciw temu, co sami odkryli. Maski już nie wystarczają. Preparować będą kontr-gazy dla walki z gazami nieprzyjaciela. Ale i na te kontr-gazy znajdzie radę genjusz destrukcji. Jak czarodziej, nie mogący opanować sił piekielnych, wywołanych swemi zaklęciami, tak biedzą się w laboratorjach chemicznych fachowcy, zaprzągnięci do roboty przy doskonaleniu przemysłu wojennego. W tym stanie rzeczy wszystkie kazania pokojowe, rozbrzmiewające z Genewy i Waszyngtonu, stają się nawet przy najlepszych intencjach ich głosicieli, ponurą tragifarsą.

* *
*

CZERWONA SPRAWIEDLIWOŚĆ NIE BAWI SIĘ W SENTYMENTY i uważa za karygodną drobiazgowość ustalanie winy indywidualnej. Trybunał, przed którym stanęło stu kilkudziesięciu „speców" sowieckich i zagranicznych nie sądzi poszczególnych jednostek, lecz całą burżuazję świata, którą oskarża o sprzysiężenie przeciw rajowi bolszewickiemu za pomocą sabotażu w Zagłębiu Donieckiem. Nietrudno było wytrawnym specjalistom z G. P. U., dawniejszej czerezwyczajki, znaleźć wśród podsądnych takich, którzy podjęli się roli świadków oskarżenia. Warunki, w jakich odbywa się przewód sądowy, urągają wszelkim pojęciom o dochodzeniu prawdy. Przypominają one do złudzenia średniowieczne procesy inkwizycyjne, w których sędziowie byli jednocześnie oskarżycielami i fikcyjnymi obrońcami. Nie ulega wątpliwości, że cała ta afera zainscenizowana została, jako rodzaj igrzyska propagandowego celem wzmocnienia „instynktu klasowego" mas proletarjackich i podsycenia ich nienawiści dla burżuazji. Gdy chodzi o podniesienie upadającego nastroju bojowego mas bolszewickich, władcy Kremla nie liczą się z żadnemi względami. Przyszło to im w danym wypadku tem łatwiej, że stracili wszelkie nadzieje na pomoc kapitału zagranicznego, mogą więc ukazać mu swe prawdziwe oblicze. Proces „speców" w Moskwie będzie przynajmniej miał tę zasługę, że rozwieje wiele złudzeń, jakim ulegały zagraniczne koła przemysłowe i handlowe, zwłaszcza niemieckie, w stosunku do sowieckiego klijenta.

KOMEDJANT I PASOŻYT W ROLI MONARCHY

I.

Wyszła w języku niemieckim i w dobrym przekładzie francuskim książka Emila Ludwiga o kajzerze Wilhelmie. Jest ona bardzo pouczająca i rzuca niemało światła na centralne problematy państwowe. Tuzinkowa mądrość stanu dzieli psychikę zbiorową narodów na przymioty i wady, jako dziedziny ściśle odgrodzone i niezmienne.

Pierwszym zawdzięczać ma naród powodzenie, drugim — nieszczęścia i klęski.

Atoli na przykładzie Prus i Niemiec spotykamy taki paradoks, że ta sama właściwość, która wczoraj uchodziła za cnotę i rzeczywiście stała się czynnikiem potęgi, wzrostu i dobrobytu państwa, już nazajutrz stać się może przekleństwem, jeżeli przekroczy właściwe granice swej użyteczności i celowości.

Po świetnych sukcesach Bismarka przez długi czas sławiono, zwłaszcza u nas, praktyczny rozsądek narodu, który nie poszedł śladem swych zachodnich sąsiadów, lecz zaufał swej tradycyjnej władzy i pozostawiał jej w sprawach państwowych, a zwłaszcza w polityce zagranicznej niemal zupełną carte blanche. Ale u steru zaszła nagle radykalna zmiana, której zaślepiony blaskiem urzędowego majestatu naród nie umiał należycie ocenić i zdobyć się na praktyczną konkluzję. Przyszła katastrofa i dopiero wtedy naród ten dowiedział się, w jakich rękach przez lat trzydzieści znajdował sie ster państwa, płynącego po burzliwych falach przedwojennej polityki.

Faktem jest, że szersza opinja nie znała Wilhelma i pozostawała w błędzie co do zasadniczych rysów jego charakteru. Nie domyślała się, że na czele państwa stoi nie rzeczywistość, lecz fikcja, gdyż jego naczelnik, strojący się w pozory „mocnego człowieka" jest uosobioną słabością, nie jest wcale działaczem, lecz lichym aktorem, grającym wieczną komedję dla samej komedji.

Narzuciła mu poniekąd tę rolę ułomność fizyczna i słabość nerwowa. Ten dziedzic głośnej sławy wojennej i najpotężniejszej armji nie miał sam danych na żołnierza i oficera. Tem mocniej pragnął ukryć swe braki i skoro nie mógł być wojownikiem,

chciał grać do zbytku jego rolę. Stał sie na całe życie komedjantem, udającym groźnego i straszliwego wojownika, rozmiłowanym w brutalnych słowach i gestach, mających imitować siłę i animusz bojowy.

W istocie jego strona duchowa była conajmniej równie daleka od wojskowości i prawdziwej wojny jak i strona fizyczna. Odgadł to już wcześnie stary arcykonserwatywny prezes Reichstagu, gdy zwierzał się ze swych spostrzeżeń kanclerzowi Hohenlohemu: „Niech Bóg nas ochroni od wojny, dopóki ten cesarz jest na tronie. Zdradzą go jego nerwy, gdyż to jest tchórz".

Z biegiem czasu powyższa słabość przestała być tajemnicą dla najbliższego otoczenia kajzera i niektórych członków spokrewnionych dynastyj, ale dla szerszej opinji Wilhelm pozostawał wciąż groźnym wojownikiem w każdym calu.

Kabotynerja wojownicza megalomańska była jego stałym żywiołem, stanowiła dla niego źródło przyjemności i cel sam w sobie, lecz w pierwszych latach panowania, dyplomacja i opinja zagraniczną traktowała popisy kajzera zbyt poważnie i stąd wynikały nieporozumienia i alarmy, które niewątpliwie szkodziły polityce niemieckiej. W okresie usilnego kokietowania Francji, Wilhelm, pozując do portretu, który był przeznaczony dla ambasady paryskiej, występuje w czarnej zbroi i purpurowym płaszczu, oparty na buławie marszałkowskiej. Generał Waldersee wyraził się, że mogłoby to mieć jakiś sens po dwudziestu latach bojów i zwycięstw, ale na wojskowych francuzów zrobiło to inne wrażenie. Generał Gallifch na zapytanie ambasadora odpowiedział prosto z mostu: „ten portret oznacza wypowiedzenie wojny".

Megalomanja Wilhelma jest wciąż na straży i czepia się lada słowa. „Wasza cesarska mość ma dzisiaj mały katar" — mówi mu doktór. „Wielki katar — odpala kajzer. U mnie wszystko jest wielkie". Gdy podróżnik Weismann po powrocie z Afryki w swem sprawozdaniu wypowiedział zdanie: „prędki sukces zawdzięczam zdolnościom moich oficerów", kajzer go natychmiast poprawił: „to są moi oficerowie" i nie poprosił go siedzieć.

W zamiłowaniu kajzera do wojskowości przebijały rysy nie żołnierskie, a nawet nie męskie, lecz raczej kobiece. Poza namiętnością do mundurów, wstęg, różnych świecidełek oraz efektownych parad, pozostał on przez całe panowanie obcym temu, co stanowi istotę i treść wojskowości. Jeżeli dodamy, iż według zgodnego świadectwa wszystkich, którzy znali i obserwowali Wilhelma, nie był on zdolny do żadnej rzeczywistej pracy, że właściwie poza ustawicznemi podróżami i rozrywkami nic nie chciał robić, to zrozumiemy, że pełnił on właściwie rolę wielkiego pasożyta w płaszczu cesarskim i w koronie.

Już w dwa lata po wstąpieniu na tron zaczynają się psuć i ulegać rozstrojowi dwie dziedziny, zależne bezpośrednio od władzy cesarskiej — polityka zagraniczna i wojskowość. Pakt asekuracyjny z Rosją, ów majstersztyk Bismarka, nie został odnowiony i car Aleksander III wbrew zamiarom i upodobaniom musiał zawrzeć alians z Francją. A przecież młody kajzer jeszcze jako następca tronu był gorącym wielbicielem caratu i aż do wojny światowej nie przestawał marzyć o nawiązaniu z nim ścisłego sojuszu. Czyż więc odpychając na początku swych osobistych rządów Rosję nie okazał najwidoczniej swej niepoczytalności?

Co do wojskowości, znaczne pogorszenie w jej górnych sferach stwierdza Waldersee, który z tego powodu porzucił urząd szefa sztabu generalnego. Ten bliski współpracownik kajzera wyniósł ze stosunków z nim rozpaczliwe wrażenie, które znalazło wyraz w ostatniej nocie pamiętników generała. „Błagam Boga — są jego słowa — aby mi nie dano być obecnym przy tem, co ja widzę i co przyjdzie".

Wysokiemu generałowi, uważającemu karność wojskową za kardynalny obowiązek żołnierza, nie wypadało podnosić alarmu, któryby wyglądał na rokosz przeciw monarsze i najwyższemu wodzowi. Ale byli przecież dygnitarze cywilni, do których z urzędu należała piecza nad losami państwa, był po za nimi parlament i opinja publiczna. Jakże stało się możliwem, iż ukoronowanemu a niepoczytalnemu półgłówkowi dano carte blanche a ludzie widzący rzeczywistość jak Waldersee zostali skazani na bierność i na ponury fatalizm, który widać z jego ostatniego wyznania?

W tem pytaniu zawiera się kompromitacja Niemiec i źródło ich politycznej katastrofy, która uderzyła na nie od strony, uchodzącej za najmocniejszą i najpewniejszą. Katastrofę sprowadziła koniec końców sławiona „wierność niemiecka", która tym razem oddała narodowi najgorszą usługę.

Korzystając ze swych ogromnych prerogatyw Wilhelm mógł zgromadzić dokoła siebie takie otoczenie, jakie odpowiadało jego upodobaniom, a więc grono dworaków i pochlebców, które nie stawiało oporu jego wybrykom, ukrywało przed nim prawdę, jak również szerzyło kłamliwą legende w opinji o kajzerze.

Dworak i dyletant artystyczny, który umiał bawić kajzera Filip Eulenburg uzyskał nad nim największy wpływ i mógł wyprotegować na urząd kanclerski Buelowa, który następnie sam przypadł do gustu Wilhelmowi, i miał zostać jego Bismarkiem. Jakoż został podobnie jak pierwszy kanclerz hrabią, a później księciem, lecz na tem też skończyło się podobieństwo z fundatorem cesarstwa niemieckiego. Mniemany drugi Bismark był tylko zręcznym dworakiem, lecz w polityce zagranicznej popełnił wielkie błędy, które przyczyniły się niemało do późniejszej katastrofy. (d. n.)

T. Grużewski.

BLASKI I CIENIE NA DALEKICH SZLAKACH WYCHODŹTWA

W czasie gdy w kraju zastanawiamy się nad wielkiem zagadnieniem reformy konstytucji, gdy zszywamy z trudem nićmi przygodnych usposobień poselskich nasz budżet, po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego miljonowa rzesza polska spogląda ku lata polskiego perspektywie, wypatrując nawy, któ-

va też ku zielonym Polski Odrodzonej wybrzeżom ich w tym roku powiezie. Odłożą na ten czas swe smutki i wyścig pracy, pozostawią na squarach nowojorskich znój i trud, strojąc się w pogodę nadziei i swobodę oddechu. Tymczasem zaś, zanim podniosą się na masztach bandery, wróżące odjazd do starokrajskiego lądu, ma wychodźtwo polskie poza codzienną walką o prawo utrzymania się na powierzchni życia kłopotów nie mało.

Oto nieskończony jeszcze proces o losy Związku Narodowego Polskiego, niewyjaśniona sytuacja w chaosie bezrobocia i przesilenia ekonomicznego, dotykającego w pierwszym rzędzie Polaków, — gdy wysuwa się na czoło zagadnień trudna a dotkliwa sprawa przyszłości polskich wydawnictw za Oceanem. Z jednej strony obserwować sie daje zmniejszenie się ogłoszeń firm angielskich w pismach polskich, co oczywiście przy amerykańskim systemie wydawniczym, godzi wprost w podstawy istnienia tych pism; z drugiej praca nad zdobyciem oparcia dla przyszłości w łonie samego wychodźtwa napotyka znać na ciężkie trudności, jeśli na łamach tych pism podnoszą się głosy, wyrażające niepokój o los pism i drogi polskiego czytelnictwa.

A przecież przyznać należy i jaknajdobitniej podkreślić olbrzymi postęp tej prasy (mówimy o prasie polsko-amerykańskiej) w ciągu kilku zaledwie lat minionych. Postęp ten ze wszech miar zasługujący na uznanie widoczny jest na każdem polu. A więc spostrzegamy przedewszystkiem zmianę w ocenie spraw polskich, zmieniły się bowiem źródła informacyjne, angielska prasa nie zawsze dla Polski życzliwie usposobiona, przestała być jedynem źródłem informacji o Polsce i stosunkach międzynarodowych. Szereg wycieczek do Polski zetknął wychodźtwo bezpośrednio z rzeczywistością naszą i zadał kłam szerzonym przez wrogą propagandę wiadomościom o Polsce. Stąd też niema wydarzenia w Polsce, któreby żywem echem nie odbiło się za Oceanem. A więc wybory, życie parlamentarne, rozwój gospodarczy, oświata, wojsko, lotnictwo, wszystko to znajduje nietylko miejsce w części sprawozdawczej, ale spotkamy też i szersze spraw omówienia, niepozbawione i zrozumienia starokrajskiego życia i zdrowego na rzecz poglądu. Śmiało rzec już można, że pomost porozumienia, pomost zbliżający kraj do wychodźtwa został na trwałe rzucony poprzez Ocean.

Zanim powrócimy do zagadnienia oparcia tego pomostu na trwałych filarach pracy logicznej, programowej, pragniemy zaznaczyć, że wychodźtwo znacznie więcej zajmuje się krajem ojczystym, że znacznie prostszym umysłem podchodzi do naszych zagadnień, niż kraj ojczysty do wychodźtwa. Nie widzimy ani urzędu, ani instytucji, któreby na serjo traktowały kwestję życia wychodźtwa, szukały dróg programowych, celowych zarówno na moralnych, jak materjalnych wskazaniach opartych.

Co więcej, otwarcie trzeba sobie powiedzieć, że nie brak tu i jawnej winy starokrajskiego rozumowania i oceny wartości wychodźtwa. Mamy do zanotowania świeży fakt słusznej goryczy wychodźtwa. Oto jedno z codziennych pism warszawskich wysłało do Stanów Zjednoczonych kilku akwizytorów celem zebrania ogłoszeń i stworzenia „numeru amerykańskiego".

Pomysł sam w sobie nie zawiera oczywiście nic zdrożnego, ale wykonanie jego nasunąć musi przykre refleksje. Oto akwizytorzy tego pisma raczyli wystąpić na terenie Ameryki pod płaszczem reprezentacji prasy polskiej, delegacji prasowej, mającej za zadanie nawiązanie stosunków handlowych między Polską a Ameryką.

Sprawa ta wywołała sporo bardzo niemiłych komentarzy. Oto co pisze o tem „Dziennik Chicagoski".

„Oczywiście, że agent ogłoszeniowy może być człowiekiem porządnym. Poco uciekać się do podstępów i udawać kogoś, kim się nie jest? Poco wprowadzać w błąd społeczeństwo polskie i amerykańskie? Poco oszukiwać amerykańskie sfery kupieckie wmawianiem, że mówią z przedstawicielami prasy handlowej polskiej, gdy naprawdę mają one przed sobą agentów, zbierających ogłoszenia? Czyż Polska nie może się zdobyć na przysłanie właściwych reprezentantów? Czy społeczeństwo polskie i amerykańskie zasługuje na takie kpiny ze strony polskiej?"

„Afera z nieszczęśliwą delegacją prasową jest niewątpliwie bolesnem kpieniem sobie z prawdziwych wysiłków garstki ludzi w dziedzinie uczciwej propagandy polskiej w Stanach Zjednoczonych."

A „Il. Kurjer Codz." z Bostonu dodaje:

„Sprawa ta jednak o tyle dziwnie i zarazem poważnie się przedstawia, że w nią polskie placówki konsularne i legacja są wmieszane. Nie przypuszczamy ani na chwilę, aby czyniły to rozmyślnie i widocznie zostały wprowadzone w błąd i działały w dobrej wierze.

Lecz nie rozumiemy, jak poselstwo polskie pozwoliło się tak nabrać. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że wyżej wymienieni panowie musieli przedstawić jakieś dokumenty i listy polecające.

Naturalne, że Polska za blagę jednostek odpowiadać nie może, lecz jej urzędowe przedstawicielstwa sankcjonować tejże nie powinny".

Wiadomo nam, że rzekoma delegacja była podejmowana uroczyście przez szereg instytucyj polskich w Ameryce. Rozumiemy też rozgoryczenie, jakie z powodu zwykłego „nabrania" ofiarnych naszych rodaków powstać musiało po ujawnieniu prawdziwej twarzy „delegacji".

Kompromitacja tego rodzaju nie zrobi dobrze opinji prasy polskiej, gorzej — postawi wszelkich następnych ew. reprezentantów prawdziwej prasy wobec zrozumiałej nieufności Polonji amerykańskiej i sfer amerykańskich. Nasze placówki konsularne winny szczególną zwracać uwagę na delegacje przybywające z Europy i za pośrednictwem choćby dostępnej P. A. T. stwierdzać charakter tego rodzaju przedstawicielstwa.

Jeśli się pragnie, by pomiędzy prasą krajową, a prasą wychodźczą zapanowały nareszcie stosunki współpracy, współpraca ta musi być podjęta zarówno z tej, jak z tamtej strony. Tego rodzaju występy, jak cytowanej wyżej „delegacji" tej współ-

pracy raczej zaszkodzą. Jeśli domagamy się od prasy wychodźczej zaufania do krajowych źródeł informacyjnych, to żadną miarą nie wolno zaufania tego nam samym podkopywać, wystawiać na próby — choćby za cenę interesu.

L. T.

FASZYSTOWSKIE ORGANIZACJE MŁODZIEŻY WE WŁOSZECH

(Korespondencja własna z Rzymu).

Włochy zadziwiają niezliczonem mrowiem dzieci ślicznych i brudnych, żyjących więcej słońcem i powietrzem, niż strawą.

Ale dyktator Italji dąży do tego, aby Włosi się mnożyli jeszcze bardziej, — jakkolwiek kraj ich wyżywić nie może — w imię planów mocarstwowych i ekspansji rasy.

Mussolini bardzo dba, aby to młodociane mrowie ująć w karby państwowej organizacji, zaczynając od opieki nad matką i dzieckiem poprzez „Opera Balilla", ogarniającą dzieci od lat 8—14 i avanguardistów od lat 15—18.

Faszyści mają absolutny monopol na wychowanie, monopol zawarowany dekretem z dn. 9 kwietnia zakazującym wszelkich innych organizacyj młodzieży.

Nazwa Balilla pochodzi od nazwiska chłopca bohatera narodowego.

„Opera Balilla" nie jest przymusową. Jednakże, jako organizacja jedyna i dająca mnóstwo przywilejów, siłą rzeczy zagarnia całą młodzież. Ma przytem w swojem rękuześrodkowane wychowanie fizyczne oraz od niej uzależniony jest program szkolny. Ma ustrój wojskowy i podzielona jest — jak niegdyś wojsko starożytnych Rzymian — na kohorty i centurje. Jednostką zasadniczą nie jest czwórka, a trójka.

Główną troską Balilli jest wychowanie fizyczne, które wzięła całkowicie w swoje ręce. Kierują niem instruktorzy wychowania fizycznego, którzy kończą specjalnie otwartą w tym celu szkołę. Fechtunek, strzelanie i pływanie są najbardziej forytowanemi sportami, jakkolwiek narty, żeglarstwo, cyklistowstwo i t. p. są również uprawiane.

Zbudowano lub tylko zorganizowano Domy Balilli z salami gimnastycznemi, kaplicami i t. p. Takie domy otwarto już w Medjolanie, Turynie, Genui. Podobno jest już ich pięćdziesiąt podług słów szefa biura prasowego Balilli. Zawody sportowe Balilli i turnieje z wieńcami laurowemi dla zwycięsców połączone, zazwyczaj bywają ze świętami faszystowskiemi, których nie szczędzi il Duce. Przytem do stolicy przybywają już zawodnicy po starannej selekcji prowincjonalnej. Balilla ma swoje Czarne Koszule i mundury.

Wielką uwagę zwrócono na Campingi — obozy letnie nad morzem i w górach gdzie żywot pełen ćwiczeń jest prawdziwą rozkoszą dla młodych faszystów. Trudno wiedzieć, jak dalece idea ta jest zrealizowana; zdaje się ograniczała się narazie do 250 dzieci.

Poza wychowaniem fizycznem dba Opera Balilla o szkoły zawodowe, których posiada kilka, czy kilnaście. Gdyż Włosi nie lubią widać ścisłej statystyki. Szkoły, te są wyrazem apologji „lavoro", tej pracy, którą świetnemi frazesami i filmowym przykładem egzaltuje il Duce. Szkoły te zajmują się zawodami zastosowanemi regjonalnie — do danej okolicy.

Budżet przewiduje t. zw. Burse di Studio czyli stypendja nagrody dla kształcących się; przytem odbywają się konkursy na wypracowania na jeden temat dla młodzieży ze wszystkich sfer. Sąd uwzględnia stopień kulturalny środowiska. Stypendja wynoszą 400 — 800 lir na osobę.

Opera Balilla ma odrodzić rasę; wychować typ godny starożytnych Rzymian.

Jako ideały przyświecają: całkowite poświęcenie jednostki dla państwa, kult odwagi, ryzyka, przedsiębiorczości. Jakkolwiek rodzinę stawia faszyzm wysoko w imię ideałów państwowych odrywa jednak dziecko od rodziny aby zaznało życia obywatelskiego i nabrało smaku do wypraw ryzykownych.

W tym celu organizowane są wielkie wycieczki okrętami do Turcji i na wschód dalszy. 2600 chłopców jeździło do Turcji, dwa okręty Opera Balilla wysłała z Genui na wschód.

Jeśli chodzi o stosunek do katolicyzmu, Balilla przeprowadza wychowanie religijne, nauczają kapelani księża — jakkolwiek katolickie organzacje młodzieży są zabronione. Po latach 14 z Opera Balilla przechodzi młodzież do „avanguardistów", którzy się zaprawiają w sportach, wychowaniu wojskowem i faszystowskiem. Oni to stanowią rezerwuar, z którego partja faszystowska czerpie automatycznie nowe siły.

Organizacja faszystowska młodzieży do złudzenia przypomina sowieckich pionierów i komsomolców. Ideały są różne, sprzeczne krańcowo, jednakże metody te same. Tu i tam propaganda mnożenia się monopol państwowy na wychowanie młodzieży, rzeźbienie bezapelacyjne ciała i ducha przyszłego pokolenia; tworzenie nowej rasy na obraz i podobieństwo Mussoliniego czy Lenina, rasy wojującej, która się sposobi na podbój świata, która wychowuje nowe siły dla partji dyktatorskiej. Tu i tam mnożą się dla podbojów swojej idei, tu i tam tworzą się zorganizowane kadry od niemowlęctwa przeznaczone na pionki poruszane władną dłonią dyktatorów.

Jankowska - Orynżyna.

PSYCHOTECHNIKA W LOTNICWIE

Świeżo wydana pod powyższym tytułem broszura dr. Wł. Missiury i dr. B. Zawadzkiego (nakład Instytutu Badań Technicznych lotnictwa 1928) omawia dokładnie problem zastosowania psychotechniki w awiacji, poprzedzając praktyczne wska-

zania ciekawym wstępem historycznym. Dowiadujemy się więc, iż psychotechnika w wojsku została po raz pierwszy zastosowana podczas wojny światowej.

Już w r. 1915 przy jednym z bataljonów samochodowych w armii niemieckiej dwaj badacze dr. dr. Moede i Piorkowski zakładają laboratorjum, w którem badają kandydatów na szoferów. W krótkim czasie powstało w Niemczech 15 takich laboratorjów. Zbadano w nich w ciągu wojny 24.000 kandydatów, z pośród których 20% nie dopuszczono do funkcji kierowców samochodowych. Jednak najpotężniejszym dotychczas w dziejach świata eksperymentem było zorganizowanie armii amerykańskiej podczas wojny na podstawie badań psychotechnicznych. Stany Zjednoczone Am. Północnej, gdzie nie było powszechnej służby wojskowej, zmobilizowały ogromne masy rekrutów zupełnie nie wyszkolonych wojskowo. Brak też było wykwalifikowanych oficerów. Chcąc jaknajzupełniej zorganizować tę bezkształtną masę, władze wojskowe postanowiły rozszeregować ją według stopni rozwoju umysłowego, gdyż oddziały jednolite pod tym względem można wyszkolić stosunkowo najkrócej i najłatwiej. Chodziło zarazem o wyszukanie w nieznanym tłumie jednostek wybitniejszych, ażeby im powierzyć stanowiska zwierzchnie lub bardziej trudne i odpowiedzialne.

W tym celu w kwietniu 1917 r. powołano komisję, złożoną z najbardziej znanych psychologów amerykańskich. Uczeni ci opracowali w ciągu 4 miesięcy serje „testów" (badań), któreby pozwoliły w krótki i łatwy sposób poznać poziom umysłowy rekrutów; następnie przy pomocy specjalnie wyszkolonego personelu zbadano w czasie od stycznia 1918 do 1. 1. 1919 roku 1.726.000 ludzi, w tem 41.000 oficerów. Z tego 70% zbadano zbiorowo, t. j. większemi grupami jednocześnie. Zbadanych podzielono pod względem inteligencji na 5 hierarchicznych klas. Okazało się, iż klasa najinteligentniejszych stanowi 83% wśród oficerów, 73,2% wśród aspirantów na oficerów, 55,4% wśród sierżantów, 39% wśród kaprali i 18% wśród szeregowców nieanalfabetów. Ponadto przy pomocy specjalnych testów 973.858 żołnierzy o uzdolnieniach technicznych dobrano do artylerji, lotnictwa i t. d.

Lotnictwo w szczególności wymagało zastosowania badań psychotechnicznych. Niektórzy z badaczy, przystępując do badań nad psychotechniką lotnictwa, sami zostają pilotami, a nawet biorą udział w życiu bojowem lotnictwa. Nagromadzone obserwacje oraz liczne badania zmieniają dotychczasowy pogląd, jakoby latanie wymagało jedynie t. zw. odwagi osobistej i równowagi umysłu. Okazało się, iż cechy te są zależne od stopnia sprawności całego organizmu. Szereg wymownych danych statystycznych stwierdza naogół, że przeważający odsetek nieszczęśliwych wypadków w lotnictwie zachodzi wskutek zaburzeń psychofizjologicznych u pilota. Tak np. niemiecki badacz O. Selz, rozpatrując przyczyny 300 wypadków w bawarskiej szkole lotniczej, stwierdził, że tylko 10% wypadków zaszło z powodu uszkodzenia motoru, a 53% całej liczby wypadków powstało z przyczyny natury psychofizycznej.

W lotnictwie Stanów Zjednoczonych do listopada 1928 r. na ogólną liczbę 5.646 lotników (z których 2.034 było na froncie — 163 zginęło w walkach powietrznych (24,8%), 4 zmarło z chorób (około 0,6%), a 508 zginęło podczas wypadków lotniczych (74,6%), spowodowanych, po większej części, przez zakłócenie funkcjowolnej uwagi organizmu pilota. Przeciętnie na 3 lotników zabitych w wypadkach, 1 został zabity w walce.

Wszystkie powyższe obserwacje i dane statystyczne aż nadto przekonywują, że przy rekrutacji lotników należy zwracać uwagę, nietylko na stronę fizyczną, ale w niemniejszym stopniu i na psychiczną. Łatwo zauważyć, że nie każdy nawet całkiem zdrowy i odporny na zmiany atmosferyczne człowiek zdolny jest do pilotowania jeśli się zważy, jak bardzo trudne i wielostronne są zadania pilota. Pilot musi nieustannie i równomiernie dzielić uwagę między bodźce wzrokowe, słuchowe, dotykowo-mięśniowe, oraz podniety działające na zmysł równowagi. Spostrzeżenia muszą być dokładnie i subtelnie zróżnicowane; ruchy pilota zarówno kończyn górnych, jak i dolnych, muszą być możliwie szybkie, opanowane, skoordynowane z jakością i wielkością podniet zewnętrznych. Odruchy zewnętrzne trzeba wciąż opanówywać wysiłkami woli. Lotnik musi zachowywać przytomność umysłu i szybko decydować wobec nagłych sytuacyj. Wśród wielu nowych zagadnień, wyłonionych przez zawód lotniczy, na pierwszy plan wysunięto mierzenie czasu czynności psychomotorycznych oraz badanie wpływu stawów emocjonalnych na funkcje fizjologiczne. Schemat badania psychofizjologicznego, ustalony przez Gemelli'ego i Gradenigo, poza badaniem sprawności zmysłów obejmuje następujące punkty: A. funkcje psychomotoryczne, czas reakcji prostej na podniety wzrokowe i słuchowe oraz czas reakcji z wyborem pomiędzy dwiema podnietami wzrokowemi lub podnietą wzrokową a słuchową. B. Uwaga: zakres, podzielność, skupienie, wahanie i szybkość spostrzegania. C. Odporność emocjanalna. D. Zmysł mięśniowy..

Badania własności psychofizycznych personelu lotniczego są szeroko rozwinięte zagranicą. U nas sprawą tą zaczęto zajmować się dopiero od niedawna. Zainicjonowało ją stworzenie w końcu 1926 r. przy Instytucie Badań Technicznych lotnictwa sekcji Lotniczo-Lekarskiej, jako działu doświadczalnego w zakresie psychofizjologji lotnictwa. Od dnia 1. I. 1928 Sekcja Lotniczo-Lekarska weszła w skład nowoutworzonego Centrum Badań Lotniczo-Lekarskich, jako Latoratorjum Psychofizjolofuczne, składające się z pracowni psychotechnicznej i pracowni fizjologicznej.

L. Ro-n.

„WARDAŃIERI"

Awanturnicza wyprawa rozbitków życiowych do Abissynji.

(Korespondencja własna „Głosu Prawdy").

Wiedeń, 12 maja.

Przedewszystkiem należałoby oczywiście wyjaśnić znaczenie i pochodzenie tajemniczego słowa „Wardanieri", z którem od dwóch tygodni można się spotkać w każdem z tutejszych pism. Ale nie jest to rzeczą łatwą, bo zdaje się, że ci, którzy się tak nazwali, sami nie byliby w stanie udzielić żadnej autentycznej informacji. Twierdzą jedni, że jest to nazwa, wywodząca się od jakiegoś wyrazu staro-germańskiego, ale nikt nie umie dać ścisłej odpowiedzi na pytanie, jak właściwie ów wyraz opiewał i co oznaczał. Twierdzą inni, że jest to utarta nazwa jakiejś sekty czy też raczej utworzonej na wzór faszystów „formacji" europejskich rozbitków życiowych", którzy na ziemi abissyńskiej stworzyli sobie nowy byt dzięki własnej energji i uprzejmości władz tamtejszych. Tak twierdzą... Ale ile w tem prawdy a ile fantazji, nikt nie wie. Prawdopodobnie wszystko zmyślone.

Takie przynajmniej odnosi się wrażenie z opisów awanturniczej wyprawy dwustu emigrantów, austrjackich i bawarskich, którzy na razie dotarli — oczywiście pieszo — aż do granicy austrjacko-włoskiej i tam dopiero się zorjentowali, że padli ofiarą kilku romantyków czy też wręcz szaleńców, którzy nie mają nic do stracenia. „Wodosy" czyli naczelnik tych emigrantów, jakiś były oficer armji austrjacko-węgierskiej, w którego głowie wylęgła się myśl tej wyprawy, nie wziął udziału w tej tragicznej imprezie, bo zanim przyszło do wymarszu, internowano go w zakładzie dla obłąkanych, ale nie odstraszyło to bynajmniej garstki desperatów, którzy wybrali nowego wodosa — również jakiegoś byłego oficera i pod jego przewództwem przed dwoma tygodniami wyruszyli w drogę. Nie pomogły żadne przedstawienia policji ani żadna przestroga prasy i stowarzyszeń humanitarnych. „Wardanieri" tak niezłomnie wierzyli, że władze włoskie przepuszczają ich przez terytorjum włoskie, i że w jakimś porcie włoskim już czeka na ich przybycie statek, mający ich odwieść do Afryki, że wyzbyli się ostatków swego nędznego mienia, by wyekwipować się do tej wyprawy po złote runo na ziemi abissyńskiej. A są wśród nich mężczyźni najrozmaitszego wieku, bardzo młodzi i bardzo starzy, są kobiety, są pary małżeńskie z dziećmi. Najmłodszy z „Wardanierów" — to niemowlę trzymiesięczne, które w Loeben musiano oddać do szpitala, bo zaniemógł w drodze na ostry nieżyt żołądka... I są tam reprezentowane najrozmaitsze zawody, oczywiście — niewykonywane, bo rzecz jasna, że całe to towarzystwo składa się z bezrobotnych, z ludzi, którzy w ojczyźnie nie mogli znaleźć żadnego zajęcia. A wszyscy w pojęciu prawniczem „bradiagi", bo nikt nie ma w porządku papierów legitymacyjnych, nieliczni posiadają paszporty, ale brak w tych paszportach wiz, wymaganych przy przekraczaniu granic. I tak wybrała się ta garstka zbałamuconych nędzarzy w daleki świat, bez środków żywności, bez pieniędzy, bez paszportów, tylko z wiarą w sercu, że jakoś to będzie...

Jak donoszą sprawozdawcy pism tutejszych, którzy odszukali „Wardanierów" w ich pierwszym postoju w Wienerneustadt pod Wiedniem, zrazu istotnie panował nastrój jaknajlepszy. W poszczególnych gminach darzono emigrantów chlebem, mąką i mlekiem. Może niejeden z nich po długiem głodowaniu znów dostał trochę ciepłej strawy. Ale już w kilka dni po wymarszu prawie wszyscy zrozumieli całą beznadziejność tego szalonego przedsięwzięcia. Zaczęły się mnożyć choroby, okazało się, że prawie nikt nie jest odpowiednio wyekwipowany, brakło też środków żywności, bo nie wszędzie zarządy gminne chciały się opiekować tymi nieproszonymi gośćmi. A jednak mimo wszystko po drodze zwiększał się orszak wychodźców. Oczekiwali „Wardanierów" w Villach wychodźcy z Tyrolu, w Gracu ze Styrji i wraz z nimi pomaszerowali aż do granicy włoskiej. Tu oświadczono „wodoszom", że niema mowy o przepuszczeniu wychodźców przez granicę. Tak więc cała ta wyprawa skończy się na tem, że ci, którzy dotarli aż do granicy, zostaną odstawieni ciupasem do swych przynależnych gmin. Sen się prześnił...

E. G.

WYDAWNICTWA O SZTUCE LUDOWEJ

(Eugenjusz Frankowski: „Sztuka Ludu Polskiego", monografje artystyczne. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Eugenjusz Frankowski: Malowanki. Wycinanki. Monografje artystyczne. Wydawnictwo Mortkowicza).

Z prawdziwą radością swierdzić należy, że zaczynają się pojawiać wydawnictwa o sztuce ludowej po okresie ziejącej pustki w tej dziedzinie.

Od czasów bowiem „Sztuki Stosowanej" ukazywały się zaledwie odbitki „Sztuki, przemysłu i rzemiosła", czasopisma wydawanego staraniem Krakowskiego Muzeum Przemysłowego im. Baranieckiego, a klasyczne wydawnictwa Matlakowskich, Mokłowskich są już oddawna wyczerpane.

Dobrze tedy zrobił redaktor monografij artystycznych wydawanych przez Gebethnera p. Mieczysław Treter, że dołączył do szeregu tych książek, pracę o sztuce ludowej. Jestto rzecz konspektowa pisana stylem telegraficznym doskonale wprowadzająca w zagadnienia, a jednocześnie potraktowana z fachową precyzją naukowca. Ujmuje cały mikrokosmos, którym jest sztuka ludowa, a więc budownictwo, wnerze izby, dom, sprzęty, ceramikę, strój, hafty, pasy, spinki, przedmioty obrzędowe, szafkę, kogutka i t. d.

Pisanki, wycinanki, malowanki obrazy na szkle. Wszystko jest ilustrowane najbardziej typowemi i charakterysycznemi okazami. Szkoda tylko, że tkactwo i strój — zapewne ze względu na to, że reprodukcje nie oddawały barwy, nie mają odpowiednich ilustracyj.

Chcielibyśmy traktować tę zwięzłą i niedrogą książeczkę, jako konspekt przyszłych prac albumowych wyczerpujących każde z tych zagadnień.

Prawdopodobnie autor książeczki dąży do tego celu, czego dowodem są śliczne wydawnictwa Mortkowicza, z europejskiemi reprodukcjami barwnemi: „Malowanki" i „Wycinanki".

Malowanki dziewcząt z pow. Dąbrowskiego są świetnym dokumentem mądrości kompozycyjnej i talentu kolorystycznego polskiego ludu, (malowanie na papierze farbą rozrobioną mlekiem).

Wycinanki poukładane są systematycznie na typy lubelskich (gwiazdy i koła), łowickich „wstążek" i fryzów w ornamencie roślinnym lub sylwetek ludzkich. (Kurpiowskich przypominających raczej ornament rzeźbiony w drzewie, podczas kiedy łowickie o charakterze bardziej malarskim pochodzą, zapewne od malowanek i druków (koloryn).

Wydawnictwa o sztuce ludowej są bardzo na czasie przed Międzynarodowym Kongresem Sztuki Ludowej w Pradze, który odbędzie się w październiku roku bieżącego.

Obyśmy się mogli w najrychlejszym czasie doczekać dalszych albumów ilustrujących przepych naszych haftów, tkanin, strojów, ceramiki, rzeźby i t. p.

Wydawnictwo takie mogło być wspaniałem ruchomem muzeum i żywą propagandą twórczości samorodnej i swoistej.

I. O.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

LITERATURA A PAŃSTWO

III.

KAMIEŃ OBRAZY.

A mon sentiment, mon frère est mort du travail, et surtout de l'elaboration de la forme de la ciselure de la phrase, du travail du style...

Z listu Edmonda Goncourt do Zoli.

W artykule poprzednim, — omawiając sprawę konstytucji Rady, czy Izby Literackiej zakończyłem tezą, iż Izba Literacka doprowadzi literaturę naszą do zupełnej zależności od czynników miarodajnych, ustali bowiem typ wyborczego politykierstwa literackiego uzależniony od kasjera Izby, czyli organów Min. W. R. i O. P-go.

W pojęciach naszych błąkają się wciąż jeszcze koncepcje całkowicie sprzeczne, o ile chodzi o stosunek literatury do Państwa. Wyobrażamy sobie powszechnie, że np. Przedwiośnie St. Żeromskiego było dla Państwa „szkodliwe" (stanowiło ono nawet pono wielką trudność przy udzielaniu ś. p. Żeromskiemu nagrody Rzeczypospolitej), natomiast nikt z pewnością, lub mało kto dopatrywał się szkodliwości wszelakich panegiryków literackich „korzystnych" dla Państwa.

Konkluzje powyższe wynikają chyba z niezrozumienia zasadniczej roli literatury pięknej, — o ile chodzi o Państwo. Wedle naszego mniemania dla Rzeczypospolitej francuskiej był niezmiernie „korzystnym" ostatni wielki cykl powieściowy A. France'a (Manequin d'Osier) pełen zgryźliwej, świetnej satyry na sklerozę Państwową społeczeństwa francuzkiego. Dla Niemców, kto wie czy nie byłaby swego rodzaju deską ratunku moralnego wielka powieść H. Manna Poddany (der Unterthan), jakże surowa i brutalna, jeżeli chodzi o wiernopoddańczość państwowych uczuć niemieckich. Dla naszego dzieła Niepodległości napewno więcej zrobiło „rozdzieranie narodowych ran" przez Żeromskiego, polegające na tak bezwzględnej krytyce wad narodowych, niż wszystkie inne utwory, schlebiające narodowej dumie.

Najwyższym interesem wielkiego zdrowego Państwa jest, w dziedzinie sztuk pięknych, a przedewszystkiem literatury, by były one wolne. Państwo bowiem, bez względu na odcień rządów przedstawia zwarty kompleks interesów, ograniczonych tak, czy inaczej, lecz zawsze ograniczonych potrzebą praktyczną. Literatura zaś już z racji swej istotnej roli, jako instrument uszlachetniający uczucia obywateli, jako więc, — głęboki korektyw sumienia społecznego, może a czasem i musi nawet znajdować się w sprzeczności z tem, co dyktuje Państwu praktyka życia. Powiedziałbym, że dopiero z wzajemnego wyrównywania tych sprzeciwów, z niezależności tego wzajemnego procesu buduje się w społeczeństwie owo najwyższe dobro, które nazwałbym niezależnością sądu i, co za tem idzie — prawdziwą kulturą.

Przykładów tego procesu my, Polacy w historji naszej literatury mamy więcej, niż każdy inny naród. Na niezależności naszej literatury od naporu społeczeństwa położyliśmy przecież pierwsze fundamenty odrodzenia i odzyskania naszej Ojczyzny. Po upadku powstania listopadowego przeważna część społeczeństwa opowiedziała się wyraźnie za zaprzestaniem walki. Literatura nasza jednak nie zeszła w najwyższych swych przedstawicielach aż do 1914 roku ze stanowiska tych, którzy w roku 1831 walczyli w bitwach Powstania.

Istota tego stosunku powinna więc i dziś pozostać najswobodniejszą. Państwo nie może subwencjonować literatury, — gdyż wtedy zgubi jej niezależność. Temsamem zaś utraci najcenniejszy dla siebie organ informacyj o tem, czem żyją duchowo masy obywateli.

Jakże więc uzyskać konieczną dla literatury pomoc, nie krępując równocześnie swobody sztuki słowa?

Pomoc ową można uzyskać jedynie właśnie na drodze ufundowania Akademji. Ufundowania Instytucji, którąby nie opierała się wyłącznie o zawodowy interes pisarzy, lecz właśnie, którąby powagą swą i rozmiarem zadań wyrastała z całego Narodu.

Nie chodzi tu o fraki, lakiery, gorsy glansowane. Przeciwstawiać Akademji fraki i paradę to tosamo, co przeciwstawiać uzasadnieniom potrzeby armji gwiazdki, naszywki i błyszczące guziki.

Nie chodzi tu o fraki, lecz o stworzenie instytucji, którąby ogarnęła całokształt spraw literackich w kraju. Którąby sprawom tym zapewniała ciągłość rozwoju równocześnie sprawy te przerabiała razem ze społeczeństwem na wzajemny użytek.

Powaga tego rodzaju instytucji, jej rozmiar, stałość pracy, sposób dobierania członków, oparcie się o szerokie warstwy społeczeństwa przez charakter pracy, zapewnićby mógł Akademji tę właśnie niezależność zdrową i konieczną, — której nie mogłaby nigdy osiągnąć Izba.

Z tego, co na zgromadzeniu Związku Zawodowego Literatów Polskich udzielił Sieroszewski o przyszłych pracach tej instytucji sądzić można, iż działalność jej ani nie byłaby ogółowi literackiemu narzuconą, ani obcą.

Wedle projektu Straży, uzupełnionego przez grono zaproszonych do wspólnych obrad młodszych pisarzy Akademja miałaby się składać z 21 członków. Dziesięciu nominowałby Rząd następnych 11 wybraliby nominaci. Nie może tu być mowy o narzuceniu kandydatów, gdyż, — jak wiadomo, — owych pierwszych dziesięciu wybrałby Rząd z tych list, które przedstawiły mu na jesieni Związki i Stowarzyszenia literackie.

Gdy mowa o tych szczęśliwych wybrańcach warto i trzeba poruszyć nareszcie ów przywilej, — bynajmniej jeszcze przez Państwo nie przesądzony, — a tyle już krwi psujący: Sprawę pensyj, które pobieraliby owi Akademicy.

Na obronę owych pensyj przytoczyć trzeba kalkulację książki prozy i poezji. Co ta książka przynosi „oryginalnemu pisarzowi", a ile go kosztuje?

Tom prozy pisze się przeciętnie rok. Wielka powieść zajmuje półtora do dwóch lat pracy. Kto choć trochę zna technikę pisania, ten wie, że, o ile artysta nie daje schematu, nie alteruje procesu pracy, — nie może szybciej realizować. Dodać tu jeszcze należy okres pracy i pisarza — w terenie: Studjum środowiska danego. Po pierwszem studjum wydaje się naogół piszącemu, że opanował temat. Zaczyna komponować, budować. W czasie realizacji, gdy wykoncypowane osoby poczynają żyć na papierze swojem własnem życiem, okazuje się, że wnoszą one do budowy powieściowej nowe, własne, z praktyki artystycznej wynikłe zmiany konstrukcyjne.

Tu, dopiero, zaczyna się okres przeróbek, rozpoczynania od początku, walka z tematem, wymagająca najwyższego natężenia woli twórczej. Nareszcie, — po trzech, dwóch latach pracy, — tom jest gotów. Autor otrzymuje za taką pracę, wyczerpującą nerwowo, tak samo chyba, jak obrona przed sądem, czy operacja chirurgiczna, czy walka na froncie, 20 proc. ceny katalogowej książki. Jest to maximum. Czyli za dwa lata najintensywniejszego mozołu — cztery do pięciu tysięcy złotych. Czyli, — niecałe dwieście złotych miesięcznie. Mniej, niż dobry tramwajarz, trzy razy mniej niż wykwalifikowana krojczyni damska, mniej o wiele, niż woźny w szanującej się instytucji.

Tak mają się rzeczy z zarobkami prozatora. O poetach nie mówię. Nie dostają oni nic prawie (tysiąc złotych za tom poezji, — maximum).

Oto warunki pisarskiego trudu. W warunkach tych talenty nasze, nawet wielkie, przedwcześnie schodzą z widowni, całkowicie zużyte walką o chleb. W warunkach tych, możnaby udowodnić, — całe plejady świetnych nazwisk nie dały nawet połowy tego, coby dać mogły.

Cóż więc dziwnego, że Akademja unormowałaby tę sprawę? Że pisarzowi, który dał już wyraźny dowód talentu swą pracą, jej ilością i jakością, — pośpieszyłaby z pomocą. Że zapewniłaby mu jego chleb powszedni?

Wysuwa się tu często zarzut, iż Akademicy mają być dożywotni. Dożywotność owa oburza szczególnie kolegów najmłodszych. Sądzimy,, że niesłusznie. Gdy doznają słodyczy zawodu pisarskiego przekonają się łacno, iż starsi ich koledzy nie przeciągną terminu żywota swego. Bez wszelkiej przesady powiedzieć można, iż przy tym zawodzie pisarskim nie żyje się zbyt długo.

Pozostawałaby zatem, — gdy mowa o tych pensjach — sprawa ich wypłacania wtedy, gdy pisarz już nie tworzy, lub tworzyć przestaje. No tak,— więc wdzięczna Ojczyzna zawarowałaby tą t. zw. nieśmiertelnością pisarzowi swemu łaskawy chleb do śmierci. Nie widzę w tem nic złego. Czyż wielki zasłużony pisarz w Polsce musi przed śmiercią tułać się po przytułkach i szpitalach? Czyż koniecznie dążyć musimy do takiego właśnie stylu życia i życiorysu pisarskiego?

Że będzie zabierał miejsce młodym? Nie sądzę. W tak zwanych starszych pisarzach nie widać wcale u nas tendencyj do hamowania młodych. Przeciwnie: Pod tym względem ani Francja literacka, ani Niemcy nie mogą poszczycić się takiem koleżeństwem demokratycznem, jakie panuje w naszem życiu literackiem.

Sądzę, że niniejszym wywodem odsunąłem ów straszny kamień obrazy, — akademickich pensyj,— ściągnęły one na siebie oburzenie Izbowców i to tych właśnie którzy, wyrażając się ich stylem, jako urzędnicy wiszą przy „cycku rządowym" i śmiało liczą na dożywotnią pensję.

Juljusz Kaden - Bandrowski.

SERGJUSZ JESIENIN.

BŁĘKITNIK
(„GOŁUBIEŃ")

W klarownym, chłodnym zmroku błękitnieją doły,
donośnie dzwoni kopyt końskich stuk.
Wyblakła trawa zbiera w rozesłane poły
miedź z zamiatanych wiatrem polnych smug.

Wilgotna mgła wypełzła z popod pustych kuszczy
i wije się kłębami albo staje w słup,
i wieczór, już zwiesiwszy się nad rzeczką, pluszcze,
w przeźroczej wodzie macza palce sinych stóp.

***

Jesiennym chłodem kwitną me nadzieje,
rumak mój stąpa jak milczący los,
i kraj odzieży mej się w jeździe chwieje,
i muska ją bułanej grzywy mokry włos.

Daleko, nie na walkę, nie na wczasów święto
prowadzi mnie przez drogę niewidzialny ślad,
zagaśnie dzień, mignąwszy złotą piętą,
i trudy już ułożą się w koszyku lat.

***

Rdzą sypką się rumieni piasek na mej drodze,
garby łysych pagórków i przydrożny rów,
i pląsa siny zmierzch już w kawek trwodze,
wygiąwszy w róg pastuszy księżycowy nów.

Dymy mleczne kołyszą siwym wiatrem sioła,
lecz wiatru niema, tylko lekki dźwięk.
I drzemie Ruś w tęsknocie, w tęsknocie swej wesołej,
wczepiwszy w żółtą glebę swoich palców pęk.

***

Już blisko wieś już, wabi sen leniwy
i zwiędłym koprem zdala pachnie sad,
z rożka księżyca sączą się krople oliwy
na szare grzędy kapust i na rzędy chat.

Ciągnie mnie ciepło, wdycham miękkość chleba,
chrupię w myślach ogórki i czuję ich smak,
za gładkiem lustrem pól ze stajni niebo
za uzdę wyprowadza obłoki na szlak.

***

Noclegu ciepły! Zdawna mi jest znana
przed wypoczynkiem rozemdlałość krwi.
Śpi gospodyni, a świeżutkie siano
z miłości wdowiej pod jej ciałem drwi.

Już świta. W kącie lśnią obrazy święte,
ramy popstrzone tworzą smętne tło,
a drobny deszcz, modlitwą wciąż zajęty,
pokłony niskie bije w mętne szkło.

***

Znowu przede mną błękitnieje pole,
słońce kołysze się w kałużach znów.
Inne już w sercu radości i bóle
i lgnie do ust mych tyle nowych słów.

W oczach zmarszczona sina dal się iści,
zrzuciwszy uzdę, cicho stąpa koń
i garść ostatnią smutnych, mokrych liści
rzuca za nami wiatru smagła dłoń.

Przełożył *Kazimierz Andrzej Jaworski.*

NA MARGINESIE

Na rozgrywce tennisowej duńczyków przeciw polakom, (Petersen, Ulrich contra Stolarow, Warmiński) widzieliśmy w loży reprezentacyjnej kilku wiceministrów, kilkunastu najwybitniejszych kierowników wielkich instytucyj rządowych, wielu generałów, oraz wybitnych posłów na sejm. Na cyklu odczytów, względnie wieczorów dyskusyjnych, urządzanych przez jednego z najświetniejszych dziś plastyków Polski, p. t. Państwo a Sztuka, gdzie poruszali artyści polscy ważne sprawy stosunku Państwa do sztuki polskiej — nie zauważyliśmy ani jednego wiceministra, nikogo z t. zw. miarodajnych czynników, żadnego z posłów.

Uroczysta Akademja ku uczczeniu jednego z najświetniejszych muzyków Polski współczesnej ś. p. Henryka Melcera, wielkiego artysty, znakomitego pedagoga, prawego obywatela odbyła się, — jakgdyby prywatnie. Na uroczystej tej Akademji nie było wcale przedstawicieli Władzy, — prócz dyżuru policyjnego.

Rozlubowane w operowej muzyce przedstawicielstwo miasta Warszawy świeciło nieobecnością!

Przypadek, przeoczenie, nieuwaga?

Cóż ma mniemać o sztuce polskiej przeciętny obywatel, jeżeli u góry takie widzi przykłady? Czy sukces rakiety pp. Stolarowa i Warmińskiego ważniejszy jest od najbardziej żywotnych spraw sztuki polskiej, ważniejszy od uczczenia pamięci świetnego muzyka polskiego?

***

Władysław Studnicki wydał w Drukarni Łazarskiego I-y tom wspomnień swego ruchliwego a zarazem bojowego życia p. t. „Z Przeżyć i Walk". Obszerna ta praca (około 400 stronic dużego formatu) zawiera wspomnienia autora od czasów jego pierwszej młodości do wybuchu światowej wojny.

Książka pisana jest bardzo żywo, z właściwym Studnickiemu temperamentem, jasnością wykładu i dosadnością ujęcia. Można się zgadzać, lub nie zgadzać z drogami, któremi kroczył autor. Niepodobna jednak nie przyznać, że przez całe życie walk i rozpraw dążył świadomie z wspaniałym zaiste uporem, do tego, co dziś stanowi szczęście nas wszystkich: Do niepodległości Ojczyzny.

Praca Władysława Studnickiego powinna się znaleść w ręku każdego, kto uważa iż pracując dla kraju winien dobrze znać swe społeczeństwo. Charakterystyki poszczególnych mężów politycznych okresu przedwojennego, charakterystyki całych obozów i odłamów myśli politycznej nabierają niejednokrotnie pod świetnem piórem autora „Sprawy Polskiej" reljefu najwnikliwszej syntezy. Trudno o bardziej objektywne a zarazem bardziej mocne charakterystyki z okresu niewoli, niż te które daje w swem dziele Studnicki.

***

Wielkie poruszenie w świecie krytyki i literatury wywołuje świeżo wydana u p. Mortkowicza praca Leona Pomirowskiego p. t. „Doktryna a Twórczość“. W książce swej na przeszło 200 stronicach zwartej, chwilami może aż zbyt ściśniętej prozy przechodzi Pomirowski do „krytyki krytyki“ poprzez „krytykę formalną“ poprzez rozważania nad epiką do spraw i zagadnień najnowszej prozy polskiej.

W książce Pomirowskiego znajdują już uwzględnienie talenty pisarzy młodych i najmłodszych aż do Wołoszynowskiego i Szelburgowej włącznie. Do oceny „Doktryny a Twórczości“ powrócimy niebawem w obszerniejszem sprawozdaniu. Na tem miejscu ograniczam się do podkreślenia tęgich pierwiastków dużej konstrukcji, na jaką zdobył się autor, oraz do przyklaśnięcia wydawcy, że odważył się wydać w dzisiejszych czasach poważną książkę z zakresu krytyki literackiej.

***

Powstałe w r. 1926 Lubelskie Koło Miłośników Książki występuje na ogólno-krajowy zjazd Bibljofilów we Lwowie w r. b. z pracą Feliksa Araszkiewicza o Hieronimie Łopacińskim, znakomitym bibljotekarzu i poloniście, twórcy regjonalizmu lubelskiego, zmarłym w nocy 23 na 24 sierpnia 1906 r. z powodu rozbicia, którego doznał prof. Łopaciński przy powrocie z oględzin pomnika ułanów ks. Józefa poległych w 1809 r

Jak widać z pracy p. F. Araszkiewicza (wydanej przez bibljofilów lubelskich nader starannie) Hieronim Łopaciński posiada wszystkie walory „człowieka poczciwego“ w Polsce przedwojennej. Niepodległy naukowo, politycznie zahukany i bierny, niestrudzony w pracy naukowo-organicznej, żałosny w swych posunięciach służbowych (profesor gimnazjum rosyjskiego w Lublinie) służyćby mógł jako typ tej straszliwej niedoli, jaką wytwarzał w Polsce przedwojennej stan ucisku i niewoli. Typ tragicznego zaprawdę trwania wbrew całemu naciskowi bieżącego życia.

***

Jesteśmy prawdopodobnie w obliczu nowej ofenzywy wydawniczej, tym razem hiszpańskiej. Tow. Wyd. Rój wydało ostatnio w przekładzie Dr. E. Boye'go wspaniałą powieść wielkiego pisarza hiszpańskiego Miguela Unamuno p. t. „Mgła“, oraz nieznanego w Polsce autora Pio Baroja „Jarmark Głupców“. Ta sama firma wdawnicza ma ogłosić niebawem Ibanez'a „W Cieniu Kartaginy“, oraz Ramon'a Gomez de la Serna „Doktór Nieprawdopodobny“. Dowiadujemy się, że Dr. Boyé, jeden z niewielu u nas znawców hiszpańskiego podjął się stylowego przekładu Don Kichot'a.

Do powieści Unamuno'a, którego uważamy za jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych wrócimy w obszerniejszem sprawozdaniu.

***

Mówił to jeszcze kiedyś nieporównany Flaubert: Kiedy piszesz, że były tam drzewa, nie zapomnij nigdy dodać, — jakie? Czytelnik powinien wiedzieć, czy to były buki, czy kasztany, — zawsze wtedy łatwiej uwierzy twemu opisowi.

Zasłużony już u nas autor wielu prac o ogrodach i kwiatach p. Bronisław Gałczyński wydał własnym nakładem w ostatnich tygodniach nową swą pracę p. t. Drzewa Liściaste.

Nie czujemy się na siłach, by ocenić ściśle dendrologiczną część tej pracy. Na uwagę tu jednak zasługuje i na podkreślenie staranność z jaką mówiąc o drzewach cytuje autor pisarzy i poetów. Ożywia w ten sposób swój wykład, równocześnie zaś daje czytelnikowi piękny pogląd na florę, pogląd wyrażony językiem najznakomitszych naszych pisarzów. Literaci wspominający zazwyczaj o drzewach ogólnikowo, mogą się z książki Gałczyńskiego wiele nauczyć.

Nie chce się wierzyć, gdy się na to patrzy, — a jednak jest to prawda! Oto jedna z księgarń warszawskich i to w centrum miasta, na Nowym Świecie przyozdobiła swą wystawę księgarską szeregiem prymulek blado niebieskich ustawionych estetycznie tuż przy szybie wystawowej. Księgarnią tą jest Książnica-Atlas. Fakt powyższy uważamy za niebywały, jeżeli chodzi o ozdobę o szatę zewnętrzną, w jakiej księgarze nasi zwykli podawać książkę publiczności. Podaje się ją u nas w formie brzydkiej, na lichym papierze, drogo, niechętnie, opryskliwie nieomal, z zakurzonych półek.

Aż tu nagle w księgarni polskiej w Warszawie w biały dzień, — kwiaty za szybą?!!

***

Z największą radością wypada nam tu zanotować fakt, iż Lwów nietylko nie zmniejszył nagrody literackiej z 10.000 do 5.000 złotych, lecz ją powiększych z 10 do 15.000 złotych, dzieląc ją na dwie części literacką (7500) i historyczną (7500 złotych). Spodziewać się więc chyba teraz już można, że po zeszłorocznem nadzieleniu tą nagrodą zasłużonych, lecz bardzo miejscowych wielkości, Lwów, śladami innych miast odznaczy pisarzy, czy uczonych, zasłużonych dla całej Polski i w całej Polsce znanych.

jkb.

KIJ W MROWISKU

(Jeszcze o przekładach).

Wszystko to, co się pisze o złych przekładach, jest grochem, rzucanym na ścianę. Jednakże ostatnio między tym „grochem“ znajdują się też kamienie takiej wagi i rzucane tak wprawną ręką, że może nareszcie ściana zacznie się zarysowywać. Dlatego, zdaje mi się, że nie należy ustawać w pracy nad jej zburzeniem, choćby gruz i kurz z rumowiska mógł być dla wielu osób nieprzyjemny — przyczem główną uwagę należy zwrócić na te miejsca „ściany“, na które dotąd nie padł jeszcze żaden pocisk.

Można się różnie zapatrywać na to, czy olbrzymia ilość przekładów z obcej beletrystyki, jaką przepełniony jest nasz rynek księgarski, wpływa na kulturę naszego czytelnictwa ujemnie czy dodatnio. Faktem jest, że przekładów tych jest coraz więcej i że są coraz gorsze.

Pomijam na razie kwestję tego, co sie tłomaczy, chwilowo chodzi mi o to, jak się to robi. Pisano o tem już tyle, że naprawdę trudno jest dodać coś nowego. Niesumienność, nieuctwo, nieznajomość języka, z którego się tłomaczy i na który się tłomaczy, niechlujstwo, partactwo. Podobne przekłady literatury pierwszorzędnej są skandalem — zaś literatury „średniej“, obliczonej na najszersze koła czytelników — szkodnictwem. Czytelnik R. Rollanda, Galsworthy'ego, Moranda, biorąc do reki zły przekład, będzie oburzony, zgorszony, ale się na tym przekładzie pozna, będzie protestował, robił alarm w prasie literackiej i t. p. Tymczasem czytelnicy Conan Doyle'a, pani Barckley, czy El. Glyn, mający do drukowanego słowa nieograniczone zaufanie, są oszukani, gdyż wierzą, że to, co czytają, pisane jest najczystszą i najwykwintniejszą polszczyzną.

Kto jest odpowiedzialny za wszystkie potworności, które spotykamy w przekładach? Oczywiście w pierwszym rzędzie tłomacz, w drugim — wydawca. Utarło się przekonanie, że najwięcej grzechów na sumieniu mają osoby, które dla „zabicia czasu" zrobiły sobie z tłomaczeń, rodzaj sportu. „Pani, która tłomaczy" jest już tak ośmieszona, że każdy dowcip na ten temat jest tak samo „vieux jeu", jak dowcip o teściowej. Pomimo to, wszystkie te panie (o panach też dałoby się wiele powiedzieć) nie tracą nic w łaskawych oczach wydawców, którzy na wszystkich tłomaczów patrzą tylko, jak na dostawców potrzebnego im towaru, nie odróżniając dobrych od złych, lepszych od gorszych, i dbając tylko o dwie rzeczy: taniość i szybkość pracy.

Zdawałoby się z powyższego, że jedynymi winowajcami zatem są wydawcy i niepowołani tłomacze i tłomaczki. Niestety, jest gorzej. Partackiemi przekładami zajmują się już także i „zawodowi" literaci. Wydawców i dyletantów można poskromić. Ale co zrobić z literatem?

Między wydawcami też zdarzają się tacy, którzy widocznie mają ambicję i zamawiają tłomaczenia u literatów. Okazuje się, że i to nie pomaga. W jednej z takich firm właśnie 3/4 przekładów wychodzi z pod pióra jednego z najznakomitszych naszych literatów. Oto kilka wyjątków z książki przez niego przełożonej (przekład z francuskiego): „Żyła jednym frankiem dziennie...". „Stójkowy nie pozwolił jej tam stać..." (podkr. moje — akcja rozgrywa się w Paryżu). „Ciągnie dalej zabawę..." „Miała ładny fałd na szyi..." „Ze strony mężczyzn nie może spotkać jej nic gorszego niż inne znane jej kobiety..."

Jak to się stało, że przekład ten podpisany jest znakomitem literackiem nazwiskiem — nie wiem i w to nie wchodzę. Może jest to jedynie świetna firma, pokrywająca zwykły „warsztat przekładów", w którym pracują tylko literaccy terminatorzy? A może jest w tem jakaś inna tajemnica. Ale to nie może obchodzić czytelnika, który szuka gwarancji w nazwisku tłomacza, tak jak szuka jej każdy kupujący w firmie, w której nabywa chleb, ubranie czy samochód. Jednakże zdarza się, że i czytelnik czasem coś nie coś rozumie i umie mówić, czytać, a nawet... pisać po polsku.

Skoro literaci sami nie dbają o ochronę języka i literatury, to w końcu będą musieli zabrać się do tego chyba... czytelnicy.

Czy można do tego dopuścić?

Stefanja Heymanowa.

ROZMAITOŚCI LITERACKIE

Dziennikarze, poeci i państwo.

W roku 1920 rząd czechosłowacki trafnie oceniając znaczenie wytrawnego dziennikarstwa i stosunków międzynarodowych w dziedzinie literatury i dziennikarstwa, wyznaczył szereg stypendjów dla dziennikarzy i literatów czeskich na pobyt w Anglji, Francji, Włoszech i gdzieindziej. Chodziło oto, aby stypendyści poznali kraj, język i ludzi i aby bezpośrednio ponawiązywali stosunki z dziennikarstwem międzynarodowem. Skutki tego ogromnie mądrego i przewidującego zarządzenia można obecnie dostrzegać na każdym kroku. Praga jest bezustannie odwiedzana przez wybitnych pisarzy i działaczy politycznych i społecznych różnych krajów zachodnio-europejskich, a w literackich i artystycznych pismach europejskich Czechosłowacja zajmuje miejsce bardzo poczesne. „Czechosłowacja stabilizuje się w umysłach elity europejskiej" — powiedział pewien pisarz czeski i wskazał na rolę, jaką tu odegrali literaci i dziennikarze przez nawązanie i utrzymywanie stosunków osobistych z wytwórcami opinji światowej. Rząd czechosłowacki zrozumiał, jak olbrzymie odsetki daje skromny kapitał włożony w tę sprawę, i wygrał.

Sława zagraniczna i sława polska.

Jeden z kolegów czeskich, pisujący o współczesnej literaturze czeskiej, pisze do mnie: „Conrad-Korzeniowski jest bezsprzecznie pisarzem wielkim, ale nie zdaje mi się, aby był większym od takich twórców, jak Przybyszewski, Reymont, Żeromski. Omijam sprawę niewspółmierności tych talentów, ale nie mogę przeoczyć faktu, że sztuka Przybyszewskiego, osobliwie zaś Żeromskiego, obfituje w olbrzymie bogactwo zjawisk, kształtów, barw, odcieni, nastrojów, myśli, jakich daremnie szukalibyśmy w sztuce angielskiej, nieco prostolinijnej i doktrynerskiej. Conrad-Korzeniowski musiał się do tej angielskiej prostolinijności przystosować, rzecz prosta, i dlatego nie należy go porównywać z Żeromskim, ale właśnie dlatego nie rozumiem wielkiego kultu Conrada-Korzeniowskiego w Polsce. Jeśli chodzi o względy propagandy, eh bien, rzecz jest zrozumiała, ale z punktu widzenia czystej sztuki nie można oprzeć się takiej „słowiańskiej" refleksji, że gdyby Żeromski był napisał nie polskie, lecz francuskie „Popioły", a Reymont nie polskich, lecz angielskich „Chłopów", to sława ich imienia byłaby w Polsce nieskończenie wyższa, od uznania obecnego Cóż? Uczmy się języków obcych i obcej kultury..."

Historja 85-go pułku strzelców wileńskich.

Kogo może taka historja interesować? Napisał ją kapitan Bolesław Waligóra, wydał Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, więc czytać ją będą chyba tylko woskowi. Cywiliści pokrzywdziliby się dotkliwie, gdyby takich rzeczy ne czytywali. Po pierwsze świat wojskowy, dyscyplina, sposób myślenia i odczuwania jest dobroczynny dla psychiki agnostycznego i sceptycznego obywatela-cywilisty. Po drugie powstanie i czyny tego pułku to żywa ilustracja do słów Juljusza Słowackiego: „Ideą wyrżniem się jak ząb z łona Rosji". Psychologja mas uważa za jeden z dogmatów, że epidemja psychiczna jest zaraźliwa. Rozproszony po wielkiem państwie carów żywioł polski, zmajoryzowany w pewnej chwili przez anarchję rosyjską powinien był, jak chce nauka, ulec anarchji i prawem najmniejszego wysiłku wsiąknąć w obcą masę. Stało się, na złość

dogmatowi naukowemu, inaczej: jak przy eksplozji mieszaniny chemicznej poszczególne pierwiastki wyzwalają się z „niemiłych“ sobie związków, tak przy wybuchu rewolucji i anarchji rosyjskiej pierwiastek polski wydzielił się dyscypliną i zaczął pełnić służbę idei ładu i porządku społeczno-połtycznego, bo innej władzy polskiej jeszcze nie było. To jest głęboki sens historji powstania 85 pułku Strzelców Wileńskich i innych pułków. Jego czyny bohaterskie są prostą konsekwencją faktu stwierdzonego przez Słowackiego, że „ideą wyrżniem się jak ząb z łona Rosji“. Ten instynkt polski trzeba znać, cenić, pielęgnować i nie marnować go!

Prawdziwy Kartezjusz.

Maxime Leroy w majowym numerze „Europe“ kreśli wizerunek prawdziwego Kartezjusza, zaznaczając na wstępie, że podobnie jak wszyscy wielcy ludzie, tak i ten wielki filozof potraktowany został w swojej biografji schematycznie. Leroy odtwarza dość przekonywująco prawdziwy obraz Kartezjusza i podkreśla jego wielkie osamotnienie w życiu i w historji. Urodził sę w roku 1596, Francję opuścił w roku 1628, umarł w Szwecji w roku 1650 i pochowany został na cmentarzu w Stockholmie, na miejscu przeznaczonem dla noworodków zmarłych przed chrztem. Ten wieczny wędrownik nawet w grobie nie znalazł spokoju. Przy ekshumacji skradziono jego czaszkę, podczas przewożenia zwłok do Francji otwarto jego trumnę wbrew zakazowi królewskiemu. Statek, na którym przewożono jego papiery rozbił się w porcie Sekwany w roku 1667. Popioły jego pogrzebano narazie w Saint-Geneviève-du-Mont, potem, w roku 1892 przeniesiono je do Musée des Monuments Français, potem jeszcze raz je ekshumowano w roku 1819. W roku 1793 strażnik czuwający nad zwłokami wielkiego myśliciela (istniały wtedy już tylko szczątki piszczeli i kości udowych), wypiłował z piszczeli pierścienie i obdarował niemi kilku „przyjaciół dobrej filozofji“.

Poezja proletarjacka.

Poeta czeski, Ottokar Fischer, referuje w „Nouvelles Littéraires“ o czeskiej poezji, krytyce, teatrze i między innemi pisze o poezji proletarjackiej i jej likwidacji. Zrodziła się około roku 1920 na tle potężnego ruchu społecznego. Znajdowała potężny oddźwięk, ponieważ świat powojenny, szczególniej świat pracy, usposobiony był rewolucyjnie. Poezja ta stawiała sobie zadania zgoła niepoetyckie: budzenia świadomości klasowej, zagrzewania do walki o nowy świat i t. d. Ale fala ta opadła niebawem; prawie jednocześnie ze śmiercią swego głównego przedstawiciela wielkiego poety, Jerzego Wolkera, poezja proletarjacka ustąpiła miejsca poezji wieloimiennej, czy bezimiennej. Poezja proletarjacka miała swoją mitologię i apokaliptykę rewolucyjną. Zbawcą świata miał być proletarjat, którego bliżej nie określano. Przy bliższej analizie, dokonanej przez Hendrika de Mana, okazało się, że proletarjat jest klasą wewnętrznie tak zróżnicowaną, jak każda inna klasa, a nawet jeszcze bardziej, bo mieści w sobie wszystkie odcienie społeczne i intelektualne. Proletarjusz wraca tedy do wielkiej poezji bezprzymiotnikowej, odrzuca ponurą apokaliptykę proletarjackiej teologji i bierze piękno z każdego dostępnego dlań źródła.

Paweł Hulka-Laskowski.

O ROZWÓJ POLSKO-CZESKIEJ ŁĄCZNOŚCI KULTURALNEJ

Wywiad z prof. Vondrackiem.

Przybył do Warszawy człowiek, którego zasługi w sprawie szerzenia kultury polskiej i zapoznania z nią, jaknajszerszych warstw narodu czeskiego, są nieocenione. P. prof. Vondracek jest tłomaczem całego szeregu dzieł literatury polskiej na język czeski i posiada w swoim dorobku około 90 tomów — całą bibljotekę!

Zwróciliśmy się do tak miłego gościa z prośbą o wywiad.

— Ależ z chęcią! przecież to jest krok na polu zbliżenia czesko-polskiego, którego jestem gorącym propagatorem; Jestem jak pan widzi człowiekiem niemłodym, (przyglądam się bacznie P. prof. Vandrackowi — ma w sobie młodzieńczą, energję i młode oczy) i celem mojego życia jest polsko-czeska przyjaźń. Polskę kocham jak drugą ojczyznę, i jeżeli całe życie poświęciłem przyswajaniu literatury polskiej narodowi czeskiemu, to z przeświadczenia, że ta droga najbardziej prowadzi do celu. U nas zainteresowanie dla litertury polskiej jest bardzo wielkie, obyśmy tylko znaleźli wzajemność. W systematycznej pracy przekładowej nie pominełem żadnego z dzieł, które były typowe dla charakteru Polski. Ostatnio tłomaczyłem trylogię Żeromskiego, następnie „Popioły“ i „Przedwiośnie“. Mam na warsztacie „Wiatr od morza“. Dzieło to, jest wyjątkowo trudne do przetłomaczenia. Starałem się wchłonąć tę specyficzną atmosferę „Wiatru“ podczas pobytu na Kaszubach. Pozatem tłomaczę Goetla „Z dnia na dzień“ i 7 tomów Weyssenhofa. Z poezyj tłomaczyłem. „Księgę ubogich“ Kasprowicza, ponieważ ma w sobie wartości specjalnie cenne dla narodu czeskiego. Staram się wreszcie o wystawienie „Zemsty“ Fredry w moim przekładzie w teatrze Narodowym w Pradze. Za najlepszy sposób nawiązania łączności polsko-czeskiej uważam zrealizowanie wzajemnej wymiany zespołów autorskich, któreby w każdym kraju grały po 2 sztuki t. j. jedną polską i jedną czeską.

— Czy jest pan profesor w kontakcie ze współczesną literaturą polską?

— Owszem, ale na przeszkodzie stoi brak wszystkich wydawnictw bieżących. Gdybym, otrzymywał wszystkie nowe druki polskie, to oczywiście, łączność byłaby znacznie żywsza. To samo mogę powiedzieć o prasie. Byłbym niezmiernie rad gdyby autorzy polscy zwracali się we wszystkich sprawach związanych z pracą przekładową bezpośrednio do mnie. A bezpośredniość jest przecie cechą narodową polską. Zachwycony byłem, przyjęciem jakie zgotowano mi w Warszawie. Tyle

mnie osób ściskało, że zapomniałem języka i nie mogłem wymówić słowa. Dobrze mi jest w tej „polskiej niewoli".

— A odczyt p. profesora.

Odczyt mój wygłoszę, również we Lwowie i Poznaniu. Dam w nim krótki rys przeszłości i plan na przyszłość w stosunkach kulturalnych polsko-czeskich. Znam Polskę i wiem czego jej trzeba, znam swój kraj i wiem czego nam brak. We wzajemnej łączności uzupełnimy się wzajem.

A.

„NIEJAKO"

Odpowiedź p. Toporowskiemu.

P. Toporowski wygłosił (w N-rze 244 „Głosu Prawdy" literackiego) dwie tezy. Jedna z nich stwierdza „materjalizm słowa" w dzisiejszej poezji polskiej, a druga wywodzi stąd wyjątkowo liczną reprezentację żydów w tej poezji.

Na to odpowiadam p. Toporowskiemu, że zadaniem poetów nie jest pisanie systemów filozoficznych, tylko dobrych i szczerych wierszy. Natomiast jest zadaniem krytyka, doszukać sie w tych wierszach filozofji poetów.

Bystremu teoretykowi niewątpliwie udałoby się wydobyć piękną i głęboką ideologję z poezyj Wierzyńskiego, Tuwima, Broniewskiego, Lechonia, nie mówiąc o bardzo wyraźnym światopoglądzie Słonimskiego i Wittlina. (Niemieccy krytycy odkryli wzniosłą metafizykę nawet we frywolnej głośnej sztuce Karola Zuckmayera p. t. „Wesoła Winnica"). Zamiast twórczej analizy jednak, p. Toporowski woli operowanie gołosłownemi zarzutami o hypertrofji słowa, która znowu w innem miejscu jest według niego „znamienną i dodatnia cechą współczesnej poezji".

Z teorji o przeroście słowa, przechodzi p. Toporowski do odkrycia materjalizmu, który jest niejako częścią struktury psychicznej Żydów. Ów J. Simmel, który natchnął p. Toporowskiego, jest żydem, przytem głębokim myślicielem ideologiem, używającym słowa tylko jako środka a nie jako celu. To wyjątek powie p. Toporowski. Do wyjątków należy również laureat nagrody dramatycznej im. Schillera: Franz Werfel, dalej Franz Kafka, Stefan i głębszy od niego Arnold Zweig, Jakób Wassermann itd., itd. (Mógłbym równie dobrze przytoczyć nazwiska francuskie czy rosyjskie). Albo może owa fatalna cecha objawia się tylko u Żydów piszących po polsku? Jak w takim razie wytłumaczyć „Wieżę Babel", „Hymny" czy metafizykę Tuwima?

P. Toporowski ugrupował plecionkę swych kruchych wywodów, około w danem miejscu nic nie znaczącego wyrazu „niejako". („Niejako" można z sensem tylko zastosować do przenośni). Mówi mianowicie: „I może właśnie dlatego dzisiejsza poezja jest tak wyjątkowo licznie reprezentowana przez tych, których niejako częścią struktury rasowej jest to, co stanowi treść owej formuły Simmla".

Niewyraźne słówko „niejako", jest więc gwoździkiem, na którym p. Toporowski zawiesił koszyk swych odkrywczych zdań. A koszyk utrzymał się na tak cienkim gwoździku, bo był próżny.

P. Toporowski kopnął niejako w próżnię.

I. Berman.

VARIA

WARSZAWSKIE NOWINY LITERACKIE Z PRZED STU LATY

„Dziennik Warszawski".

Jednym z przodujących organów literackich w r. 1828 był założony w maju 1825 r. przez Michała Podczaszyńskiego miesięcznik p. n. „Dziennik Warszawski", zasilany z początku pierwszemi pracami literackiemi Mochnackiego jak np. znana rozprawa: „O duchu i źródłach poezji w Polszcze".

W r. 1828 wydaje „Dziennik Warszawski" Jan Kazimierz Odyniec. Wychodzi on w formacie ósemki, objętości przeszło 100 stron, zawierając artykuły z dziedziny historji, starożytności, literatury, historji nauk i sztuk, filozofji i krytyki. Pozatem przynosi stałą rubrykę wiadomości literackich, osobliwości i anegdot. Wiele miejsca poświęca ten „dziennik" poezjom częstokroć anonimowych twórców, albo poetów, których nazwiska nie dotarły do naszych czasów. Odznaczał się starannym drukiem — dziełem warszawskiej „Drukarni Szkolnej". Trzy pojedyńcze numery tworzyły oprawny tom, zaopatrzony w „spis rzeczy" z napisem „za pozwoleniem Cenzury" na wewnętrznej stronie okładki. W następujących po sobie egzemplarzach, tworzących poszczególne tomy, zachowywano kolejną numerację stron.

„Zamek Kaniowski".

Nr. 37. z maja 1828 r. przynosi „Dziennik Warszawski" pod nagłówkiem „Zamek Kaniowski" następującą nowinę:

„Wyszła świeżo z pod prassy, w drukarni N. Glücksberga, pod tym tytułem, powieść oryginalna wierszem, napisana przez Seweryna Goszczyńskiego. Nim w późniejszych Numerach Dziennika rozbiór jej nastąpi, uważam za rzecz przyzwoitą przytoczyć tu kilka jeszcze wyjątków (bo już niektóre były dawniej umieszczone w Dzienniku, w numerze 28.), by dać poznać bliżej talent i charakter poetycki autora". Następują fragmenty z pieśni I-ej, II-ej i III-ej.

Jak widzimy niewiele się zmieniło. Nasze czasopisma uważają pozatem za „rzecz przyzwoitą" umieścić pod taką notatką fotografję autora, niezawsze jednak uznają za konieczne dać „w późniejszych numerach rozbiór" utworu.

CURIOSA LITERACKIE

Trawestowana księga II-ga „Eneidy", przez Ferdynanda Chotomskiego.

Dowcipny autor w ten sposób rozpoczyna swoją parafrazę (w Nr. 38 „Dziennika Warsz."):

„Na raz umilkli wszyscy, rozdziawili gęby
A Enej zgóry altem rzekł do nich przez zęby:

Infantko! chociaż może na śmierć się zapłaczę,
Jak mi każesz, jak zagrasz, tak ja ci zaskaczę!"

Zaś koniec II-ej księgi brzmi tak:

„Na Proroka was proszę, Mekę i Medynę!
Jeżeli macie w sobie cnoty odrobinę,
Na Alkoran na Talmud, Zend Awesty księgi,
O Pardon! gdyż ogromne i tak wziąłem cięgi!..."

„Naśladowcy" poezji romantycznej.

Że poezja romantyczna miała w tych czasach i swoich nieudolnych naśladowców świadczą następujące próbki: z „Wiersza do M..." niejakiego Wincentego Smączyńskiego:

„Jak na łące w mnóstwie ziółek,
Skromne wdzięki w cieniu kryje;
Wiosny dziecię, pstry fiołek,
Wonią darzy, wonią żyje;
Tak w ustroniu miłość cicha
W pierwszych życia chwilach;
Rozkosz wieści nią oddycha
Nie wie o motylach...
... Niech ma serce jak krynica
Jak fiołek postać skromną
Godna hołdu cna dziewica:
My wspomnimy, drudzy wspomną
i t. d."

Zwraca tu szczególnie uwagę banalna przeróbka tematu, zaczerpniętego z Mickiewicza („Pierwiosnek").

Inny znów poeta Stanisław Janowski tak opiewa swój „Żal za pierwszą miłością" („Dziennik Warsz." Nr. 41):

„Gdy ją raz pierwszy ręką nieśmiałą ścisnałem,
Wtedy miłości naszej rozsnuwał się wątek,
Gdym ją rękoma objął, mianował aniołem,
Wtedy już uczuć naszych dojrzewał początek.
i t. d."

W innym wierszu tak żali się na swą samotność:

Samotnik.

„Każdy w społeczeństwie żyje
Wspólne wieńce życia plecie,
Ja jeden tylko na świecie
Ja jeden tylko się kryję.

Samotny śród gwarnej tłuszczy,
Zginę od świata nieznany,
Od przyjaciół zapomniany,
Tak jak nagrobek na puszczy
i t. d."

Na usprawiedliwienie tych rymów należy jednak przytoczyć to, że były pisane przed stu laty.

Hen. Ad.

Z BIBLJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

Największe skarby

...bo wszak nigdy nie zbraknie na ziemi
namiętnych dusz, co dłońmi nieomal drżącemi
chwytają dzieło ducha, toną w jego treści
i — kształcie!...

O, jak oko przecudownie pieści
ta czcionka, ta oprawy mistrzowska robota,
dla której nie szczędzono kosztownego złota!
Te dziwne kopersztychy, te inkunabuły,
te stare drzeworyty jakiż oddźwięk czuły
i swą nieudolnością znajdują u człeka,
jeżeli tylko nie jest, jak biedny kaleka,
ślepotą nawiedzony!

A jakie okręgi
ogarniające wszechświat, wyzierają z księgi
natchnionej słowem Boga, który się nie zżyma.
Sam, w własnej Swej osobie stawać za plecyma
schylonych pracowników i szeptać im w uszy,
jak ziarno z plew się tworzy, jak się rudę kruszy,
jak wodę się przemienia w Galilejskiej Kanie
na wino, byś rozkoszne miewał ucztowanie!

A jeśli Pasterz wielki Swe sługi niezawsze
nawiedzać chce w ich domu, wówczas najłaskawsze
wciąż mając oko na nich, śle im swe orędzie
przez Swoich pośredników. I nieraz tak będzie,
że kiedy w ciszy nocnej siedzisz w swej izdebce,
zaduman, śród swych książek, naraz coś zaszepce,
coś naraz zaszeleści i piąta i dziesiąta
i setna wiewna mara z każdego się kąta
wychyla i gromadą zbliża się ku tobie.
Mężowie, którzy dawno już złożyli w grobie
swe ciało, a zaś duszę zamknęli w swem dziele
żywota arcytwórczem na wielkie wesele
człowieka i na jego ukojne zbawienie
od nędzy tej powszechnej, zjawiają się, cienie
żyjących myśli swoich, ażeby się kołem
otoczyć i swem słowem prawić ci wesołem,
w zastępstwie swego Pana, o rzeczach, co leżą
pomiędzy krańcem niebios a ziemi rubieżą,
w ich wnętrzu i poza niem, na tajemnej drodze,
Wodze

puściwszy swej wymowie, ten niesamowity,
a przecież tak przyjazny ci orszak, najmity
Bożego wdzięczną służbę spełniający właśnie,
na wielkieć wskaże ciemnie i na wielkie jaszce
żywiołów, które, duszę rozpierając człeczą,
by móc się uzewnętrznić, niszczą albo leczą
zastępy dusz siostrzanych, na śmierć prowadzone
lub życie ponad życiem! Wyjawią ci one,
te widma — i na okrąg rozgłaszać ci każą,
zwróciwszy się ku tobie płomienistą twarzą,
radosną tę nowinę, że w księgach się mieszczą
największe twoje skarby. I jak przez nie wieszczą
źrenice możesz tajne przenikać i światu
wspaniałą wróżyć przyszłość pełną majestatu
Bożego! I że ten jest najszczęśliwszy z ludzi,
któremu nic zapału do ksiąg nie ostudzi;
a przedsię ten, co, w własne wgłębiwszy się wnętrze,
uczuje naraz twórcze siły przenajświętsze

i, sam stworzywszy księgę, pokornie ją złoży
u stóp swojego Stwórcy, na podnóżek Boży!

(Jan Kasprowicz, Przedsłowie tłumacza (r. 1923 do przekładu traktatu łacińskiego Ryszarda de Bury pt. „O Miłości do Ksiąg to jest Philobiblon (r. 1344).

Wybrał Este.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

E-denicz, Zakopane: Nie wydrukujemy, forma wierszy słaba, myśli pospolite. Poczciwe, zacne, — lecz pospolite.

Zet-el, Kraków: List spóźniony, dlatego czeka Pan tak długo na odpowiedź: **Na Linji** wydrukujemy. Tamte małe w formie i w inwencji. Sprawa ochrony zwierząt bardzo jest ważna ze względu na delikatność uczuć ludzkich, w poezji jednak trzeba było wyjść poza maxymy, które znajdują się na ogłoszeniach towarzystw ochrony zwierząt. Nie widzimy u Pana tendencyj poszukiwania nowego wyrazu, łamania się materjałem poetyckim. Więcej odwagi i więcej przedsiębiorczości!

Maks, Lwów: Jest to napisane zbyt sumarycznie. Na tak krótkiej przestrzeni nie można zmieścić całych dwóch kompleksów: szkoły i choroby, — z przerwą dziesięciu lat. Trzeba staranniej organizować temat. Skupiać go, streszczać tak dokładnie i silnie, by ułożył się nareszcie w zwarty wątek opowiadania. Trudno, — minęły już te dobre czasy, kiedyto pisarze posługiwali się kilka tygodni trwającym tyfusem, snami wieszczemi itp. A więc, — lepiej organizować!

Stan. Mark, W-wa: Czyż nieporozumienie? Niema tu powodu do obrazy. Prosimy raz jeszcze o wyłuszczenie nam owego pomysłu totalizatorskiego.

Jul. W. Kraków: Film niezły z początku, potem gubi się w niedomówieniach. Jaki wynalazek do łapania ropy? Sprawa strajku całkiem niejasna. Ach, drogi panie, te rzeczy nie dadzą się oszukać. Radzimy wracać do formy noweli. Starać się, by forma ta była dobrze zbudowana. Żadne wykręty nie pomogą.

Maryla Wit: Mocny Boże, — „niebo i ziemia" już w koszu. Ba co więcej, — „jedna miłość" też już w koszu. Z utworów jednak sądzimy, iż mamy do czynienia z dzielną, odważną studentką, która nie boi się prawdy. Otóż, — historja miłości jest napisana miło, płynnie, potoczyście nawet. Niestety nie panuje Pani jeszcze dostatecznie nad przewodem opowiadania. W nadesłanej noweli utrzymuje Pani jeden tylko nastrój, czy ton, nie wzmacniany (względnie wzmacniany tylko formalnie) w trakcie opowiadania. Wytwarza to monotonję i brak rozwoju. Radzimy albo powrócić do tego samego tematu, lecz wzmocnić go kompozycyjnie. Albo — czekamy nowych prób? Dziękujemy serdecznie za zaufanie.

S. Sznaj: Dziękujemy za pamięć. Nie wydrukujemy, gdyż nie znamy tej literatury. Nie mamy w nią żadnego wglądu. Czemuż nie tłomaczycie tych rzeczy na polskie? Podobno jest to istotnie pisarz utalenowany bardzo. Ależ cóż robić, nie mamy w tym wypadku żadnych możliwości kontroli. Z dziedziny która Pana obchodzi moglibyśmy natomiast — umieszczać krótkie wiadomości kronikarskie. O nowościach, tempie ruchu literackiego itd.

Jan Racz: Nie, — na zmęczenie nic łabędzie nie pomogą! Precz z łabędziami, lirami, gęślami, różami. Wysuwamy przeciw łabędziom kaczki, grochówkę, zupę szczawiową i kotlety cielęce ze świeżą mizerją.

Hak, Łódź: Odpowiedzieliśmy już Panu przecie. Nie podoba się nam to dziełko, wolelibyśmy mniejsze i skromniejszy początek.

M. Parz: Wszystkie? jeden z tych wierszy nie będzie, nie może być drukowany. Są przesadnie emfatyczne. Emfaza ta jest pusta, nieożywiona istotnem uczuciem, jałowa, oparta na głośno-brzmiących słowach. Radzimy nie pisać wierszy i wogóle nie zajmować się poezją.

Jul. Wit.: Przeczytaliśmy. Niedobre. Pański ton elegijny nie może opanować tego tematu. Pozatem, niby dla wdzięku opowiada Pan tak długo i szczegółowo o najprostszych rzeczach?! Ależ wiadomo w końcu, że szklankę bierze się rękami nie nogami, że pije się ustami, a nie uchem! Niechże Pan przestanie rozkoszować się własną spostrzegawczością, która zresztą nie jest tak bardzo odkrywcza. Do roboty: Planować, obmyśleć w szczegółach i zacząć pisać dziesięć razy to samo, póki się nakoniec nie ułoży. A wtedy może będzie złe? Nie o to chodzi. Chodzi o to, że pracując w ten sposób, spełni Pan gruntownie swój artystyczny obowiązek wobec tematu. Niema innych możliwości doskonalenia się, — jak ostateczne spełnienie wszystkich obowiązków wobec tematu!

Hugo K. Łódź: Dlaczego Pan już pisze? Czyż istotnie nie może Pan jeszcze zaczekać parę lat. Takie to jeszcze wszystko dziecinne, naiwne, błahe. Czy nie woli Pan grać w piłkę nożną, tenisa, czy tam co? Uważać to za ćwiczenie przygotowawcze do pisania? Ależ tak. tak.

I. Kr. Sosnowiec: Istotnie podziwu godna w naszych warunkach elegancja Pana ujęła nas głęboko. Stawia nas Pan jednak w przymusowe położenie: Nie możemy poświęcać tyle miejsca sporom, które prowadzi sam redaktor naszego Dodatku Literackiego. Nie możemy zaś pracy pańskiej obcinać. Z tego względu nie wydrukujemy. Wzmianką naszą nie chcieliśmy Pana dotknąć. Krytyki? Krytykujemy się przecież wszyscy ciągle wzajemnie, nie znając własnej wartości. To trudno!

Jan Brze... Myli się pan, — odpowiadaliśmy już Panu; Historja napisana jest zręcznie, niestety za długa dla nas. Wiersze pańskie przeczytaliśmy z wielką radością, z głębokiem wzruszeniem. Będziemy drukowali wszystkie trzy. Najlepsze jest chyba Przymierze, ale i w tamtych jest dużo szczerego waloru poezji. Czy nie uważa Pan, że w „Roślinach" możnaby opuścić ostatnią zwrotkę? Prosimy o zgodę na to. Zwrotka ta jest pleonazmem, powtarza sens wyrażony już raz i wygłasza niepotrzebnie może — tezę moralizatorską. Ostatecznie jednak, jak Pan woli. Jeszcze raz serdecznie winszujemy Panu tych wierszy. Z racji tych utworów pozwalamy sobie zwrócić się do naszych korespondentów: Nie jest prawdą, że redakcja w czambuł odrzuca wszystko. Gdy widzimy zadatek talentu, gdy spotykamy wysiłek udały nie szczędzimy miejsca i słów zachęty. Nie możemy jednak popierać grafomaństwa!

Jan Jaw: „Znowu oko pojazdem mknącym się zachwyca". Cytujemy umyślnie ten zwrot. Nie licuje on zupełnie z całą treścią i nastrojem wiersza. Trzeba to zatem jeszcze lepiej, mocniej, ściślej wypolerować. Prosimy o nowe próby.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22

Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem